Hippocerfem albo, jak się potocznie mówić bardzo dobrze przyjęło, Ieleni, nazwano istot gatunek cechy kucze oraz jelenie swoim bytem łączący. W istocie, ogólnym kształtem swym i rozmiarem, hippocerfy ziemne kucyki na myśl przywodzą, są jednakowoż od nich delikatniejszej, smuklejszej tak samo, budowy, sierść ich i grzywa, barwy leśnego poszycia zawsze przyjmując, łatwo mylić się może z tymże. Pyski ich wszelką zaś wątpliwość odnośnie gatunku niweczą, hippocerfów rysom bowiem zdecydowanie bliżej jest do jelenich niż kuczych. Cechą aczkolwiek najbardziej dla nich charakterystyczną są wyrastające z czaszek poroża, zarówno wśród samców gatunku jak i samic występujące.

Bohaterami będąc licznych, choć wiekiem młodych, bajęd, ieleni widziani są jako lud cichy i zwady nie szukający jeśli jeno pozostawiony zostanie swoim sprawom, choć nierzadko gusła rodzą i opinie hippocerfom nieprzychylne. Kiedy lud ów obrażonym się poczuje gdy spokój lasu, którego strażnikami i mieszkańcami każe się nazywać, a który takoż jest, jak się mniema, obiektem ich kultu, do najbrutalniejszych reakcji gotów jest się posunąć, pożytek czyniąc ze swych łuków i proc, którymi posługują się ieleni zręcznie nad wyraz. Co zaś tyczy się magii stosowanej przezeń, umysł kuczy gubi się próbując jej zagadkę rozwiązać.

Zainteresowania nie budząc sprawami kuczymi a i swoich zazdrośnie strzegąc, ieleni ludem są dziwnym i niepoznanym, a zmiany tegoż stanu, żadne zdarzenie w ten czas nie zapowiada.

– *Encyclopaedia Aequimanus*, wpis pióra Starswirl Kontynuatorki

Ścieżki donikąd
Rozdział I

– Precz!

Jedyne słowo, jakie Weratyr miał do powiedzenia, skierowane zostało do trójki nieznajomych, którzy od zbyt długiego już czasu zakłócali spokój jego oraz puszczy. Lasowi niemiła była obecność wszelkich istot, których sam nie wpuścił w swe progi, a trzy kucyki, które z pewnością wtargnęły tutaj bez zaproszenia niewątpliwie wywołały jego słuszny gniew. Weratyr zaś, jako uniżony sługa puszczy, czuł się w obowiązku by usunąć przyczynę jej niezadowolenia. Nie był jednak okrutnikiem. Żywiąc nadzieję, że las okaże się w tej kwestii wyrozumiały, wyrobił w sobie zwyczaj by jeden raz udzielać wrogom przestrogi. Jeśli okazywali się na tyle mądrzy by skorzystać z ostrzeżenia, byk pozwalał im odejść. Nie plugawił się co prawda mową kucyków, lecz naciągnięta cięciwa łuku i jedno słowo wykrzyczane gniewnym głosem było według niego wystarczająco wymowne nawet dla ograniczonych kuczych umysłów.

Trójka nieznajomych nie wykazała się wszak mądrością. Nie uciekła gdy Weratyr dał im ku temu szansę, zamiast tego śląc mu kolejne błagania i łzy. Byk nie poczuł się bynajmniej zaskoczony. Był raczej zirytowany. Nie pierwszy, nie drugi i nie dziesiąty już raz miał nieprzyjemność obcować z kucykami i choć każde spotkanie podobne było do pozostałych, żadne nie zagrzało miejsca w jego pamięci. Weratyr nie przykładał bowiem wagi do niczego co kucze.

Dłużącą się chwilę wykorzystał by dokładniej przyjrzeć się obcym. Zatrzymał wzrok na ogierze bez poroża skrywającego burą sierść pod wyniszczoną peleryną. Był brudny i wychudzony, nie nosił broni, a jedynie nader ciążący mu tobołek. Garbił się i patrzył smutno, a bardziej niż strachem emanował wielkim zmęczeniem i zrezygnowaniem, jakby odgadł już jaki czeka go los i sam nie dowierzał, że jest zdolny go zmienić. Mówił jednak niemal bez ustanku, gestykulując częstokroć i zapewne błagając o litość, co Weratyr oceniał jako żałosne. Nie umknął mu jednak fakt, że ogier bez zawahania stanął pomiędzy grotem strzały, a swoimi towarzyszami, zdecydowanie pragnąc chronić nie siebie, a ich właśnie.

Opieki z pewnością potrzebowała skulona na ziemi milcząca i śmiertelnie przerażona klacz nie nosząca, poza obszernym szalem, żadnego odzienia – bezwstyd był tylko kolejną oznaką barbarzyństwa kucyków. Również nie posiadała poroża ani spotykanych czasem u jej pobratymców skrzydeł, lecz jej dziwnie błyszcząca sierść mieniła się kolorami, jakich Weratyr nigdy jeszcze nie widział. Zwróciło to jego uwagę, aż opuścił na chwilę łuk. Naciągnął go wszak ponownie kiedy dostrzegł jeszcze jeden interesujący szczegół. Zapłakana klacz nie nosiła mianowicie żadnych tobołów poza jednym tylko zawiniątkiem pieczołowicie tulonym do piersi. Niewątpliwie przedstawiał dla niej olbrzymią wartość, a cóż dla złodzieja mogłoby być cenniejszego niż niedawno zagrabione dobra? Węzełek tak starannie chroniony przez nieznajomą z pewnością zawierał leśne plony, do których kucyki nie miały prawa, a które w obecnych okolicznościach stanowiłyby jeszcze jeden dowód ich winy.

Weratyr skierował łuk w kierunku zawiniątka i znacząca zadarł go w górę, dając obcym do zrozumienia by odwinęli płótno. Bury ogier, zerknąwszy we wskazaną przez grot strzały stronę, bez wątpienia zrozumiał o co chodzi, lecz nie zareagował inaczej niż kolejnymi niezrozumiałymi słowami.

– Pokaż! – wykrzyknął byk, mocniej naciągając cięciwę łuku.

W tym momencie wyszedł naprzód trzeci obcy, ten który zbudził w Weratyrze największe zdumienie. Szarobrązowy ogier obdarzony dziwnym, pojedynczym porożem sterczącym ze środka czoła, miał na sobie równie cudaczne szaty w barwie nagiej kości zasłaniające całego jego ciało z wyłączeniem pyska. W odróżnieniu od swych towarzyszy był uzbrojony w zakrzywione ostrze schowane w pochwie ginącej pośród wielu dźwiganych przez niego pakunków. Zdawało się, że nie jest to dla niego żaden ciężar, a sił dodaje mu jego widoczna jak na kopycie, iście bezczelna duma. Patrząc nań dłuższą chwilę można było dostrzec jego lodowaty, groźny niemal, spokój.

Przedziwny ogier odgadł najwyraźniej czego oczekuje Weratyr i szepcząc łkającej klaczy kilka słów otuchy, odebrał jej tajemnicze zawiniątko, myślą otaczając je aurą purpury. Sztuczka, którą kucyki w swej zarozumiałości nazywały magią, pozwoliła mu unieść węzełek w powietrze i oddać go w kopyta drugiego ogiera. Szarobrązowy jednoróg musiał go jeszcze zachęcić kilkoma słowami, lecz bury ogier przemógł się wreszcie i odsłonił płótno pakunku.

Jego zawartość okazała się dla Weratyra nielichą niespodzianką. Oczom łucznika nie ukazały się skradzione owoce, grzyby ani zioła. Nie ujrzał drogich kamieni, ptasich jaj czy pszczelego miodu, a żywą istotę – dziecko przejawiające rodzinne podobieństwo do starszej klaczy i trzymającego ją ogiera. Mokra od potu klaczka spała zawinięta w koc, nerwowo

poruszając zamkniętymi powiekami, z pyszczkiem wyrażającym smutek. Weratyr nie musiał być znachorem by stwierdzić, że maleństwo trawi choroba.

Nie zamierzał jednak pozwolić by wpłynęło to na jego osąd.

Nieznajomi doskonale wiedzieli, że nie wolno im zakłócać spokoju lasu. Wszystkie ich trzy plemiona wiedziały o tym już od dnia kiedy wiele księżyców temu, porzuciwszy swą umierającą ojczyznę, przybyły na te ziemię i zafascynowane jej bogactwem połączyły siły by plugawić ją pod wspólnym sztandarem. Kucyki bowiem, z tego co Weratyr wiedział, choć żyły obok siebie od lat, nauczyły się jedności dopiero wówczas gdy w oczy zajrzała im śmierć. Otarłszy się o zagładę, nie wyciągnęły z niej jednak wniosków. Osiedliły się pośród dawnych górskich miast i chociaż już wówczas przejawiały słuszny niepokój gdy kierowały wzrok w stronę lasów, dały upust swemu nienasyceniu bardzo szybko.

Weratyr podejrzewał, że z początku puszcza wcale nie zamierzała robić sobie z nich wrogów, a niezdecydowana co do ich intencji, zakorzeniła tylko w ich umysłach pewne ostrzeżenie, jednocześnie prosząc ieleni o cierpliwość. Klany czekały zatem posłusznie, patrząc na poczynania kucyków z obojętnością. Czas płynął leniwie, a dwa ludy żyły obok siebie w izolacji, lecz gdy granice lasu nawiedzili uzbrojeni w siekiery i ogień najeźdźcy, pobłażliwość musiała się skończyć. Kucyki, pragnąc podporządkować puszczę swej władzy, poczęły deptać jej trwającą od zarania dziejów harmonię. Kradły owoce i zioła. Masowo wyrzynały drzewa, nadając im nową bezduszną formę, zdolną jedynie do ślepego im posłuszeństwa. Gryzły, łamały, rąbały, niszczyły i paliły!

Od tego czasu las trwał w gniewie, a ieleni, jego słudzy, niezłomnie stały w jego obronie, gotowi poświęcić życie własne lub cudze by już żadne drzewo nie musiało zatracić własnego.

– Precz stąd! – wykrzyknął znów Weratyr, wypuszczając strzałę tak by musnęła włosy szarobrązowego ogiera.

Nie chybił. Obcy mieli po prostu niemało szczęścia, że ich widok wywołał u byka złe wspomnienia i żal za wielkim żniwem śmierci, jakie się z nimi wiązało. Być może dość już było zabijania, lecz z pewnością dostatecznie nadszarpnięto już cierpliwość lasu. Kucyki musiały natychmiast odejść, czego oczywiście wciąż nie pojmowały.

Co za bezmyślność, co za buta, pomyślał Weratyr, patrząc jak bury ogier cofnął się i oddał klaczkę jej matce, po czym, wciąż nic nie rozumiejąc, znów wstał i zaczął błagać o litość. Powstrzymał go szarobrązowy jednoróg. Tym razem to on podszedł bliżej i powolnym ruchem wyciągnął z zanadrza pękaty mieszek. Purpurową poświatą rozwiązał jego rzemyk i przesypał w kopycie spoczywające weń monety.

– Ty – powiedział w języku ieleni, wyciągając sakiewkę na kopycie. – Twoje – poprawił się po milczącej chwili, rzucając ją pod nogi Weratyra.

Dziwnym było, że obcy zna nawet najprostsze słowo w języku, którego znać nie powinien, lecz jego naiwna postawa tylko bawiła Weratyra. Czy on brał go za jakiegoś zbira żądającego myta za przekroczenie terenów, które uważał za swoje? Czy naprawdę sądził, że Weratyr jest kimś więcej niż skromnym strażnikiem spokoju lasu? Jaki użytek może mieć puszcza z tych kilku bezwartościowych krążków, od których kucykom lśniły z pożądania lśniły oczy? Czy kucyki naprawdę myślały, że to wystarczy aby zmazać winę jakiej się

dopuściły? Las, co prawda, bywał łaskawy dla tych, którzy przynajmniej próbowali naprawić swoje błędy, ale ta grupa nie rozumiała swoich win, nie próbowała ich zrozumieć i nie zasługiwała na litość, którą Weratyr okazał im już dwukrotnie, dając szansę na ucieczkę. Naruszyli odwieczny zwyczaj i żałowali nie tego, że popełnili błąd, a raczej tego, że ich nakryto.

Weratyr nałożył kolejną strzałę. Splunął na sakiewkę z pieniędzmi. Pewniej chwycił łuk i wycelował w prawe oko krnąbrnego jednoroga. Ten, dostrzegając niebezpieczeństwo, zdradził swe zaskoczenie jednym tylko drgnieniem powieki. Natychmiast zasłonił dwójkę nędzarzy oraz ich córkę własnym ciałem i zniżył głowę tak aby jego długi, ostro zakończony róg zwrócony był w stronę Weratyra. Łucznik wiedział co zaraz może się stać, lecz gdyby obcemu rzeczywiście przyszło do głowy rzucić jakąś klątwę, byk miałby dość czasu aby zabrać ze sobą co najmniej jednego wroga. I był na gotowy. Z radością odszedłby tam, skąd się nie wraca, wiedząc, że ostatnim jego czynem była walka w obronie puszczy.

– Co się dzieje, Weratyrze?

Tych słów nie wypowiedział żaden z obcych. Głos dobiegł uszu Weratyra niespodziewanie. Nie poprzedzał go żaden ostrzegawczy dźwięk i gdyby byk nie znał go bardzo dobrze, już zwróciłby się w stronę nowego intruza, karcąc się w duchu, że pozwolił mu podejść tak blisko. Doskonale wiedział jednak czyje słowa usłyszał. Łagodzący największy gniew najtwardszych serc głos, rodzący słowa przywodzące na myśl pieśń, należał do bezszelestnie stąpającej po liściach łani noszącej imię Oski.

Nie wspomnieć o jej wyglądzie byłoby nieprzyzwoitością. Zaiste, las nie poskąpił jej urody. Jej pozbawione skaz ciało, dobrze wyćwiczone i zręczne, pokrywała sierść w odcieniu starego miodu poprzecinana ledwie widocznymi ciemniejszymi pasami, czego nie widać było pod lekkością zwiewnego przyodziewku. Hebanowe jak bezksiężycowa noc i nigdy nie przycinane włosy Oski wiązała w gruby warkocz, z którego bardzo była zadowolona, tym bardziej, że nie mogła zbytnio chwalić się swym porożem – raczej przeciętnym na tle innych łań.

– Co się dzieje, Weratyrze? – zapytała ponownie, podchodząc bliżej.

Postać Oski jak zwykle oczarowała Weratyra, ale nawet jej obecność nie pozwalała mu zapomnieć, że towarzyszą im kucyki. Łucznik nie omieszkał wyjaśnić sytuacji oraz konieczności ukarania obcych, którzy zapewne nie zdawali sobie sprawy z tego jak wielkie spotkało ich szczęście. Gdyby nie pojawienie się Oski, krew już by się polała, a tak mogli oni łudzić się jeszcze na odrobinę miłosierdzia. Łania znała wolę lasu jak mało kto, a jej osąd zawsze był sprawiedliwy.

Wysłuchawszy słów Weratyra, Oski obojętnie spojrzała na nieznajomych. Każdego z nich zlustrowała wzrokiem, być może za pomocą swej magii zaglądając w głąb ich dusz. Swoim melodyjnym głosem odezwała się w ich języku i wysłuchała odpowiedzi. W jej dalszych słowach słychać było pocieszenie ale również oskarżenie, delikatne choć wystarczające by nieco przygasić iskrzącą się w obcych nową nadzieję.

– Nie mieli złych zamiarów – zwróciła się Weratyra. – Są zbłąkanymi podróżnymi.

– Jakie to ma znaczenie? – oburzył się łucznik, nie spuszczając nieznajomych z oczu. – Wiedzieli, że nie wolno im tu przebywać. A jeśli nie wiedzieli, nie jest to wystarczające usprawiedliwienie.

– Ależ wiedzieli bardzo dobrze, że łamią nasze zwyczaje. Zauważ jednak w jakim są stanie. Dwójkę z nich trawi choroba, są zmęczeni i głodni. Omijając las nadłożyliby całe dni drogi, a być może czekałaby ich śmierć.

– Śmierć byłaby dla nich mniej pewna gdyby jednak szli okrężną drogą.

– Mówisz o śmierci, ale czy uważasz, że pokaranie ich w ten sposób jest sprawiedliwe?

– Jak najbardziej sprawiedliwe. – strzała Weratyra zadrżała. Już bardzo niewiele brakowało by pozwolił jej się uwolnić. – Las domaga się tego.

– Nie masz racji. Nieomylny las daje wszystkim rady i stawia żądania ale nie może nikogo zmusić do podjęcia decyzji zgodnej z jego wolą. Dlatego właśnie chce abyśmy osądzali i karali intruzów. Ale jaki jest pożytek z kary, jeśli żaden z tych nieznajomych nie zyska szansy by w przyszłości uniknąć błędów?

Słowa Oski zasiały w Weratyrze ziarno wątpliwości. Łucznik rzeczywiście nie mógł wiedzieć jaki los jest pisany tym obcym i jak kara wpłynie na ich życie. Uśmiercenie ich, oczywiście, stanowiło jedno z rozwiązań, ale czy było rozwiązaniem właściwym?

– Mam więc ich puścić? – zapytał, nie zmieniając napięcia cięciwy.

– Nie. Niech zginie jedno, a pozostali niech odejdą i przemyślą swoje życie.

To był sprawiedliwy wyrok. Krew jednego obcego być może wystarczy by las pohamował swój gniew, a fakt że ocaleli nieznajomi poniosą dalej swoją historię być może zapobiegnie przyszłym niepokojom.

Weratyr wypuścił strzałę bez zawahania czy refleksji. Nawiedziły go one dopiero wówczas gdy już dokonał tego czynu i swoją decyzją przerwał nić życia ogiera o burej sierści. Nie żałował tego bynajmniej. Zastanowił się raczej dlaczego wybrał właśnie jego, nie zaś szarobrązowego jednoroga, który swą butną postawą od początku dopraszał się ukarania. Nawet teraz, w obliczu nagłej śmierci, wciąż nie pojmował on jak wielka spotka go łaska i nie korzystał ze swej ostatniej już szansy na ucieczkę. Towarzysząca mu klacz przeciwnie, nabrała jakby nowych sił – niemal natychmiast poderwała się z ziemi i tuląc swe dziecko pobiegła ile sił w kopytach.

Osamotniony teraz ogier nie ruszał się jeszcze przez chwilę. Patrzył na ciało swego towarzysza, jak gdyby nie dowierzając oczywistości, po czym powoli podniósł wzrok na dwójkę ieleni. Jego twarz nie promieniała już zimnym spokojem, lód w jego oczach także stajał. Spod zmarszczonych brwi biły teraz czerwienią jakby dwie przepastne studnie płynnego ognia, w których pływały zwężające się do postaci pionowych linii źrenice. Straszny był to widok. W jego obliczu Weratyr musiał zmuszać się by nie odwrócić wzroku. Ostrzegawczo naciągnął kolejną strzałę, lecz nawet jeśli obudziło to w nieznajomym jakąś obawę, maskował ją doskonale swoją wrogością. Ociekał nią wręcz. Jego róg jarzył się inaczej niż poprzednio, mrocznym oparem, jawiącym się też dziwnie w kącikach jego oczu, i mogącego w każdej chwili przeistoczyć się w magiczny pocisk. Gdyby obcy zaatakował możliwe, że ów czyn byłby dla niego satysfakcjonujący, z pewnością jednak byłby ostatnim.

Jedynie Oski nie przejawiała oznak gniewu. Z kamienną twarzą, lecz wciąż przemawiając ze słodkim spokojem poprosiła Weratyra by opuścił łuk. Musiała być w tym jakaś magia, gdyż byk daleki byłby od tak pochopnych czynów. A jednak, gdy Oski zwróciła się do nieznajomego, on także jakimś sposobem pohamował emocje. Mówiąc w jego języku, łania wyjaśniła, iż krew jego przyjaciela była zapłatą za możliwość bezpiecznego opuszczenia progów lasu. Z pewną surowością przekazała mu by nie poddawał cierpliwości puszczy kolejnym próbom i po prostu odszedł w kierunku, jaki uzna za stosowny.

Szarobrązowy ogier nie krył oburzenia, ale okazał się na tyle rozsądny by wysłuchać rady. Użył swej magii by ułożyć martwego towarzysza na grzbiecie i ostatni raz zerknął na ieleni wzrokiem pełnym pogardy. Nie robiąc już nic innego, ruszył w swoją stronę.

Weratyra drażniła tak wyniosła postawa nieznajomego. Przecież okazano mu miłosierdzie. Jak śmiał jeszcze próbować walczyć? Patrząc na jego powoli oddalającą się postać, łucznika kusiło by jednak posłać za nim strzałę i zakończyć również jego żywot, ale wystarczyło mu spojrzeć na Oski aby powstrzymać się od tego czynu. Łania z pewnością nie pochwaliłaby strzału w tył głowy uniewinnionego.

– Może należało zabić wszystkich? – zapytał mimo wszystko Weratyr. Schował łuk. Podniósł wciąż leżącą na ziemi sakiewkę i przywiązał ją do pasa. Szarobrązowy ogier jej nie zabrał, lasowi też była na nic, byk zaś mógłby zrobić z niej jakiś użytek. – Co jeśli wzburzy swoich przeciwko puszczy i kucyki przybędą w większej liczbie?

– Jeśli tak się stanie, staniemy do walki. Jeśli nie, nadal będziemy sądzić tych, którzy zakłócą spokój puszczy. Tak czy owak, las będzie zadowolony, a przecież wyłącznie o to nam chodzi.

– Tak – westchnął byk. – Wyłącznie o to.

Weratyr, jak każdy ieleni, robił wszystko by zadowolić las swoimi czynami. Nigdy nie śmiał uważać, że zasłużył na jego szczególną uwagę, ale ośmielał się wierzyć, że to co robi podoba się puszczy. Była to jednak tylko wiara. Weratyr nie mógł mieć żadnej pewności, czy właśnie nie zmarnował swej ostatniej szansy, bo jeśli jego decyzja była niezgodna z wolą lasu, mogła czekać go kara o wiele surowsza niż wbita między oczy strzała. Wiedział o tym doskonale, ale nie pozwalał by wpłynęło to znacząco na jego postrzeganie świata. Dokonał wyboru zgodnego z osądem swoim i Oski. Niech więc teraz las wyda osąd w ich sprawie i pozwoli im go wyczekiwać we wzajemnym towarzystwie.

– Co cię sprowadza, Oski? – zapytał Weratyr, zrzucając przerażającą maskę wojownika lasu i ponownie stając się jego szczęśliwym mieszkańcem. – Tamci obcy pewnie dziękują swoim bogom, że się zjawiłaś ale wątpię, że przybyłaś ich ratować.

– A czy łania potrzebuje powodu by chcieć spotkać się ze swym bykiem? – odparła Oski, przytulając się do Weratyra.

– Jak zawsze przemawia przez ciebie mądrość. – Wearytr odwzajemnił uścisk. – Ale jednak ciekawi mnie dlaczego za mną poszłaś?

– Czy masz chęć na spacer? – Oski jakby nie dosłyszała pytania. Nic nie było po niej znać, że miała jakąś ważną sprawę, a mieć ją musiała, bo wolny był z niej duch i tak jak przepadała za czasem spędzonym z ukochanym, tak niekiedy wolała spacerować jedynie w

towarzystwie swoich rozmyślań i to do niej należało wówczas przyjść mając z nią coś ważnego do przedyskutowania.

Nic jednak nie mówiąc, ieleni odeszli paręset kroków. Dotarli na otwartą przestrzeń, gdzie można było podziwiać górzystą panoramę. Ruszyli gdzie poniosły ich oczy, krocząc po jednym z wielu niezbyt szerokich gościńców tworzących się naturalnie tam, gdzie spotykały się dwie krainy. Tutejsza granica była wyraźna – na prawo pyszniły się zbocza i ich wysokie drzewa lasu mieszanego, po lewej zaś, bardziej kamienistej, pnącej się w górę stronie, rosły drobniejsze krzewy kosodrzewiny.

– Dokoła nas działa wiele sił – powiedziała łania. – Te mniej potężne i te bardziej, nie wszystkie są przyjazne innym – mówiła powoli, nieco rozmarzona. – Każda z nich może być tak niepodobna do pozostałych, że nie jest wcale głupim nazwanie ich odmiennymi światami, które przeplatają się co rusz i nakładają na siebie. Dla nas najlepiej widocznym jest najbliższy nam świat lasu i tego wszystkiego co stworzył, świat natury i jej świętych zasad, które nie sposób złamać. Inne siły są dla nas zwykle zakryte, lecz przy pewnym wysiłku potrafimy je zauważyć, zaś bardzo dobrze widoczny jest dla nas również świat, którego zasady można zmieniać. Zmiany nie są jednak złe same z siebie, lecz trzeba aby pojawiały się powoli i w sposób przemyślany, a o to nie zawsze jest łatwo. Zmiany zbyt gwałtowne bywają groźne i mogą przyjść za wieloma przyczynami. Na ich czele zaś są rzeczy z gruntu nienaturalne, magia i istoty zaznajomione z siłami nieprzynależnymi światowi puszczy. My także jesteśmy takimi istotami, Weratyrze. Nie jesteśmy przynależni lasowi.

Byk słuchał coraz bardziej zdziwiony. Oski powtarzała naukę, którą każdy ieleni znał od maleńkości. Milczał jednak i słuchał dalej.

– Choć niektórzy z nas do dziś nie potrafią tego zrozumieć i bardzo jest im to nie w smak, nie mamy swego miejsca ani na tym ani na żadnym ze światów. Stoimy raczej pomiędzy nimi. Nie jesteśmy ani zwierzętami ani roślinami. Nie należymy w pełni do istot lasu, nie jesteśmy również czymś mu wrogim. Las przemawia do nas bezpośrednio, lecz pozwala też usłyszeć inne siły, tak byśmy po trochu mieli do nich przystęp, na tyle tylko aby móc wykorzystać je najlepiej jak potrafimy. Bo za malutcy jesteśmy aby sądzić, iż możemy odgadnąć i zrozumieć zamiary puszczy oraz wykonać je lepiej niż ona sama. Ile możliwego dobra potrafimy dostrzec, tyle winniśmy czynić.

Oj, o tej części lekcji zdarzało się Weratyrowi zapominać. Jeszcze przed chwilą był przecież bliski wydania osądu w gniewie, bez serca i sprawiedliwości, a nie o to przecież chodziło. Owszem, twarde kopyto czasami wypadało, a nawet należało okazywać, mądrze je jednak miarkując.

– Daleko nam do doskonałości i nieraz trudno jest niczemu nie przynależeć, a jednak pozostajemy czujni i cierpliwi. Wierzymy w słuszność swych działań oraz w to, że las się do nas uśmiecha. Przychodzą więc również i takie dni gdy puszcza pragnie nas nagrodzić i wybiera spośród nas jednego, który spełni dla niej większą rolę. Ów wybraniec osiąga wówczas możność by stać się z lasem jednością, połączyć się z nim i po wieki mieć swój udział w jego dziele.

– Dlaczego mi o tym przypominasz? – nie wytrzymał Weratyr.

– Bo tak sobie pomyślałam, najdroższy, że w niedawnym gniewie mogłeś zapomnieć.

– Nie zapomniałem, Oski.

– Cieszę się… – łania zatrzymała się i poczęła grzebać kopytkiem w ziemi. Uśmiechała się lekko, bez śmiałości, jak gdyby chciała jeszcze coś dodać, ale nie umiała ubrać myśli w słowa.

– Nie… – powiedział Weratyr, domyśliwszy się lecz jeszcze nie dowierzając.

Oski zrazu ledwie dostrzegalnie, ale coraz pewniej pokiwała głową, zupełnie jakby perlące się w jej oczach łzy szczęścia nie starczyły za odpowiedź.

Weratyrowi nie udało się powstrzymać wybuchu radości. Szczęśliwy jak źrebak uwięził ukochaną w uścisku i stając na tylnych nogach okręcił się z nią kilka razy dookoła, radując przy tym uszy jej śmiechem.

Od kiedy sięgał pamięcią kochał Oski miłością różnych rodzajów, od dawna jednak niczego nie pragnął bardziej niż spędzić z nią reszty życia. Jeśli wszak las zdecydował inaczej, pozostawało tylko cieszyć z jego decyzji. Oski miała się zjednoczyć z puszczą. Już wkrótce uda się w samo jej serce by tam porzucić swoje śmiertelne ciało i połączyć się z jej wolą. Oczywiście, oznaczało to, że Weratyr już nigdy jej nie zobaczy i jakaś jego cząstka przez mgnienie oka pragnęła złorzeczyć za to lasowi, lecz szybko stłumiła ją świadomość tego co miało spotkać Oski. Łania jego marzeń stanie się częścią nieśmiertelnego, istniejącego odwiecznie bytu kierującego również jego losem, a gdzieś w puszczy, w miejscu w którym Oski spędzi ostatnie chwile jako ieleni, wyrośnie nowe drzewo. Młode, silne drzewo, skrywające w sobie duszę Oski, które choć nie będzie mogło się odezwać, z pewnością ucieszy się gdy Weratyr będzie je odwiedzał. A zamierzał robić to codziennie.

Teraz wszak musiał poskromić emocje. Zawstydził się nieco i uwolnił ukochaną z uścisku. Poprawił koszulinę. Chrząknął dwukrotnie.

– Kiedy to ma się stać? – zapytał.

– W noc gdy księżyc będzie blisko. Za dwa krótkie dni.

Weartyr ponownie uściskał swoją ukochaną i gotów był tak trwać choćby i do końca czasu, pomimo że i on i Oski wiedzieli, iż wspólne czułości nie mogły trwać wiecznie.

– Wracajmy do domu – odrzekła wreszcie łania.

Tak też uczynili. Zeszli z górskiego zbocza w gęstszy las. Stąpając miękko po szeleszczącej ściółce, dotarli po chwili w pobliże ukrytej przed nieprzychylnymi oczami, trawiastej polany zamkniętej z każdej strony lasem, a układającej się w kształt wydłużonego i grubego, mało zakrzywionego sierpa. Zimą nigdy tu nie wiało, wiosna przychodziła wcześnie, lato trwało długo. Dawno temu, kiedy Oski ledwie jeszcze wyrastała ponad trawę, a Weratyr nie był nawet w planach swojej matki, łaskawy las pozwolił wędrującemu klanowi ieleni zażyć tutaj chwili odpoczynku. Chwila ta wydłużyła się już bardzo, a że jej koniec się nie zbliżał, dzisiaj na polanie rozsypane były tu i ówdzie porządne domostwa wzniesione z glinianych cegieł wypalanych kawałek dalej w ilościach koniecznych, nie mniejszych i nie większych. Liczne były przestronniejsze i wygodniejsze niż te z czasów wędrówek namioty. Drewno wykorzystywano rzadko i tylko w przypadkach gdy las dał na to swą wyraźną zgodę.

Drogi były w tak niewielkiej osadzie niepotrzebne, a trawa, mimo że wielokrotnie zadeptywana, pozostawała silna i zdrowa, tak samo jak okoliczne drzewa i krzewy, którym

nie przeszkodzono w ich naturalnym, nieśpiesznym rozwoju. Dzieci lasu były wszak na polanie pierwsze i należało uszanować to, że zechciały podzielić się nią z ieleni.

Weratyr i Oski szli przez osadę rozkoszując się tętniącym tutaj życiem, w trójnasób chyba bardziej wartkim niż zazwyczaj. Nie co dzień przecież miało miejsce wielkie święto gdy oblicze księżyca bardzo się zbliżało, a jakby mało tego jeszcze było, puszczy spodobało się by z tej okazji wezwać do siebie jedno ze swoich sług i tylko dwa dni pozostały by do hucznej zabawy wszystko przygotować. Krzątanina w osadzie była tym samym iście niespotykana i pomimo że każdy znał swoje zajęcie, kopyt do pracy jak zwykle pozostawało za mało, że o potrzebnych zapasach się już nie wspomni.

Ale niesłychanym zbiegiem okoliczności właśnie dziś wieczór miało odbyć się spotkanie z handlarzem, u którego można by dokupić kilka drobiazgów. Problem tkwił w tym, że do targów nikt się w osadzie nie kwapił. Kupiec zjawiający się co jakiś czas na skraju lasu był bowiem kucykiem, a wiadomo że z takim do uczciwej wymiany dojść nie może, bo potrzeba ku temu dobrej woli, której po stronie jego ludu się przecież nie uświadczy. Kucyk posiadał jednak towary ułatwiające życie w niemałym stopniu i łasy był na rzemiosło ieleni, toteż niechętnie przyznawano, iż pewien ograniczony handel wymienny mógł być raz na jakiś czas wskazany. W miłej atmosferze nie przebiegał on jednak nigdy i dlatego przyjęło się, że zajmował się nim ten ieleni, który zgłosił się na ochotnika.

Ochotnikiem został Weratyr – któryś już raz z kolei, ku czemu miał swoje osobiste powody, o których nie chciał aby ktokolwiek je poznał.

– Weratyrze… – odezwała się jeszcze Oski, nim jej ukochany zdążył zaprząc się do wypełnionego towarami wozu i opuścić granice osady. – Zostaw łuk.

– Ależ, Oski… – zdziwił się byk. – Przecież może mi być potrzebny.

– Zostaw, bardzo cię proszę.

Cóż było robić? Weratyr odpiął paski mocujące sajdak, zdjął z grzbietu kołczan i oddał wszystko ukochanej na przechowanie. Pocałował ją i odszedł.

Droga na miejsce umówione z kuczym handlarzem miała zająć mu resztę dnia, a prowadziła dobrze znanymi ścieżkami, na których żadne trudności się nie zdarzały. Weratyr jednakowoż zatrzymał się na chwilę w pewnym niewielkim oddaleniu od osady. Sprawdziwszy czy nikt za nim nie podąża, zzuł buty, rozwinął onuce i ruszył w dalszą drogę boso.

Wstydził się nieco tego dziecinnego upodobania, bo faktycznie trzeba być dzieckiem żeby pomyśleć, iż cienka warstwa materiałów na kopytach może przeszkadzać w nawiązaniu głębokiej więzi z lasem. Weratyr wszak nigdy jakoś nie wyrósł z tego niemądrego zwyczaju. Lubił związane z nim uczucie i przyjemnie mu było wędrować z gołymi kopytami kiedy tylko mógł, o czym jednak nikt nie musiał wiedzieć. Byk nie zwierzał się z tej tajemnicy nawet przed Oski, która sama zwykła chodzić boso znacznie częściej i bez żadnej krępacji. No, ale delikatnym z natury łaniom na pewno bardziej się tak godziło niż mającym przecież stąpać twardo po ziemi bykom.

Atoli, Weratyr nie był chyba wzorowym obrazem wojownika puszczy, bo obok swojej niewinnej skąd inąd niechęci do butów, nosił w sercu jeszcze jedno upodobanie, któremu także chciał dać dzisiaj upust.

Gdy ubogi w niespodzianki czas przywiódł go w pobliże skraju lasu, Weratyr zboczył z drogi do nieodległego już celu aby odwiedzić miejsce całkiem odmienne od tych, gdzie mógł cieszyć się pięknem natury, ptasim śpiewem i towarzystwem wielu zwierząt. Zatrzymał się jak najbliżej tej okolicy, ale nie naruszył jej smutnego spokoju. Zadumany wpatrywał się tylko w pełne brutalnie rozrąbanych pni cmentarzysko, które kucyki bez refleksji nazywały wycinką.

Polana emanowała posępną ciszą i chłodem iście z wnętrza grobu. Zawsze było tu szaro i mgliście, jakby sama pogoda smuciła się widokiem i za nic miała to, że jej żal jeszcze pogorsza panujący tu nastrój. Mądrzej byłoby się nim nie zatruwać, ale Weratyr, choć całą duszą nienawidził tego miejsca, całą duszą pragnął też o nim pamiętać.

Najeźdźców przepędzano stąd już wiele razy, lecz za każdym razem powracali oni lepiej przygotowani, kradli tyle ile tylko zdołali, a potem uciekali, często poganiani świstem strzał, zostawiając pobojowisko wiórów, popiołu i przelanych łez. Nie istniało w języku ieleni przekleństwo współmierne do tej zbrodni, tak samo jak nie było sposobu aby ją naprawić. Dla zarżniętych drzew ieleni nie mogli zrobić już nic poza zachowaniem ich w pamięci i cierpliwym obserwowaniem jak puszcza sama leczy swoją ranę i z wolna powraca tam, skąd kucyki próbowały ją przegnać. Las miał jak zawsze zwyciężyć cierpliwością i przemyślanym wysiłkiem, lecz jakież było to pocieszenie w obliczu tak wielu mogił jego dzieci? Doprawdy, nie wiadomo było czy paść na ziemię i rozpaczać do zapomnienia czy też od razu wziąć sznur.

Osaczony wyrzutami sumienia Weratyr udał się w dalszą drogę. Czuł jak wzbiera w nim gniew, lecz zmusił się by utrzymać go na wodzy. Nie po to odwiedził cmentarz drzew. Nie temu miało służyć to ponure miejsce. Poza tym złość na nic by się teraz nie zdała, a mogłaby jedynie zaszkodzić jeśli uderzyłaby w kuczego handlarza, którego mógł już dostrzec.

Drobnej budowy ogier w późnośrednim wieku, ukrywający przedwcześnie siwe włosy pod granatową chustą, siedział na ziemi oparty o jedno z kół zakrytego pałubą wozu, strasznie się chyba nudząc, bo w przeciwieństwie do ieleni, którzy nie uznawali tego za konieczne, zawsze stawiał się na umówionym miejscu o uzgodnionym czasie. Na grzbiet pokryty bursztynową sierścią narzuconą miał zgniłozieloną – z pewnością dawno nie praną – luźną kamizelę składającą się bodaj wyłącznie z kieszeni. Widząc zbliżającego się doń Weratyra, schował do jednej z nich garść kości do gry, którymi bawił się przed chwilą, żonglując nimi i sprawdzając co jakiś czas ile oczek uda mu się wyrzucić.

– Passa nie sprzyja, brateńku – zwrócił się do ieleni, mówiąc w jego języku niemal bezbłędnie. – W kostki to możemy sobie puknąć kiedy indziej jak będziesz miał ochotę.

Handlarz na imię miał Whisky Jar. Kucykiem był raczej poczciwym, co musiał przyznać nawet Weratyr. Nie był tak zadufany jak jego pobratymcy, znał swoje miejsce i wiedział dobrze gdzie przebiegają granice, których przekraczać nie wolno, acz zbliżać się do nich Whisky Jar lubił aż zanadto. Traktował życie jako niekończącą się, przepełnioną okazjami hulankę, z której zwykł czerpać całymi garściami, ryzykując i próbując szczęścia w wielu dziedzinach, co rusz odkrywając jeszcze jeden ze swoich wielu talentów i za każdym niemal razem przysparzając sobie zysków i wrogów. Istniały bowiem zasady, które Whisky

Jarowi zdawały się mimo wszystko zbyt ograniczające i w związku z tym czuł się usprawiedliwiony by po prostu je ignorować, drapaka dając dopiero wówczas gdy innej możliwości już nie było. A gdyby taki trik się nie udał, Whisky Jar miał pochowane w swych kieszeniach jeszcze masę innych sztuczek, o których później będzie jeszcze mowa.

– No co ty, brateńku? – kupiec podszedł bliżej. – Nie wyściskasz starego druha?

Oto była kolejna cecha Whisky Jara, która zdaniem Weratyra, któregoś dnia sprowadzi na niego kłopoty. Nie dało się zliczyć ile już razy ostrzeżono go jak niemile widzianym jest gościem, on wszak zdawał się tego uparcie nie dostrzegać i wciąż witał się z szerokim uśmiechem, zadowolony i pewny siebie, aż się prosząc by co rychlej go pogonić, zupełnie jakby pierwsze jego próby kontaktu z ieleni i jego ówczesne bojaźliwe rejterady nigdy nie miały miejsca.

– Co tam słychać w wielkim lesie? – mówił dalej, niepotrzebnie pomagając Weratyrowi wyprężyć się z wozu.

Byk wciąż milcząc – bo po co niby miałby się odzywać? – zerwał zębami płachtę przykrywającą jego wóz, o którego burtę Whisky Jar natychmiast oparł przednie nogi. Z błyskiem w piwnych oczach, oblizując się przy tym, potarł kopytami o siebie i jął rozglądać się za czymś co szczególnie przykułoby uwagę. Wszystko tak jak zwykle. Dawno minęły już czasy, gdy kupiec próbował wykiwać ieleni swoim udawanym brakiem zainteresowania. Dzisiaj już bez cienia wątpliwości można się było domyślić, że najchętniej porwałby wszystko. Nie pogardziłby ani jednym z leśnych plonów, które zbierać i wykorzystywać wedle uznania mieli prawo tylko ieleni. Były one wielce pożądane wśród kucyków, bo mało który ryzykowałby napytanie sobie sporej biedy dla paru garści grzybów. Poniewierały się ich na wozie całe kosze, lecz jeszcze więcej było tam wyrobów rzemieślniczych.

O żadnej broni, z jakiej ieleni słynęli wśród kucyków chyba najbardziej, nie mogło być oczywiście mowy. Co to w ogóle byłby za pomysł żeby zbroić wroga w oręż, który swą jakością przerósłby pewnie jego najśmielsze fantazje? Na wozie Weratyra żadnych proc ani leciutkich łuków w zdobionych sajdakach tym samym być nie mogło, za to mnóstwo spoczywało na nim glinianych naczyń. Przy jednym z pierwszych spotkań z Whisky Jarem, Weratyr miał okazję ujrzeć owoce garncarstwa jego pobratymców i był to jedna z niewielu tych chwil gdy byk śmiał się szczerze w obecności kucyka. Nawet on, choć nie był w ogóle obeznany z gliną, potrafiłby stworzyć piękniejsze i wytrzymalsze naczynia, i to bez bawienia się takimi kuczymi wynalazkami jak koło garncarskie. Na co komu ono było skoro wystarczyły umiejętności, cierpliwość i odpowiednio przygotowany piec? Tajemnic na ten temat ieleni rzecz jasna ani myśleli zdradzać, podobnie jak swoich sposobów na obrabianie kamienia, kryształu i kości, którym nadawali kształty figurek, biżuterii i przyborów bardziej praktycznych, część z nich przeznaczając na handel.

– Wy mnie chyba nigdy nie przestaniecie zadziwiać tymi swoimi cudeńkami – odezwał się Whisky Jar zachwycony trzymaną w kopytach kolią. – Ja sobie, pamiętasz?, na początku myślałem, że z wami to się może da tasiemkami powymieniać, jakimi paciorkami na sznurkach, a wy mi tu takie coś, że się jejmość królowa by nie powstydziła. Ty wiesz, brateńku, jakie to się u nas popularne zrobiło? Cieszcie się tam w lesie, bo już moja w tym głowa, żeby taka moda trochę potrwała. Będę tego od was potrzebował więcej.

– Nie jesteśmy twoimi sługami, kucu – odezwał się wreszcie Weratyr. Nie spodobał mu się pretensjonalny ton kupca. – Nie będziesz od nas dostawał więcej niż sami uznamy za stosowne.

– Ale zyski, brateńku! Zyski! Mówiłem ci już, ja jestem kuc myślący. Wszystko przemyślałem i wszystko zaplanowałem. Zastanowiliście się już nad tym, co wam poprzednio proponowałem? Jak nie, to policzymy jeszcze raz, a jak dalej nie będziecie chcieli mi sprzedawać więcej to wymyśliłem, że przecie możecie mi pod opiekę jedną waszą dziewczynę dać, jakąś ładną, młodą pannę, co sama na targowisku waszymi świecidełkami będzie handlować. Zmajstruję jej straganik, dam draba do ochrony, może trochę przyuczę jak nie będzie umiała, wyżywienie jakieś dam, dach nad głową, żeby po godzinach nie musiała się błąkać… i tylko jakiś śmieszny procent za wszystko wezmę! Wy tylko róbcie co tam umiecie, zaopatrujcie i w miesiąc wszyscy są bogaci! Co powiesz na taką propozycję, brateńku?

– Nie – odparł niedbale Weratyr, bo czyż było tu coś więcej do mówienia?

– Ale dlaczego, no?! Ja przecież mam wszystko zrobione! – kucyk nie ustawał w naleganiach. Stracił zainteresowanie towarami ieleni i uczepił się Weratyra, który już brał się by przeglądać co też on im dzisiaj przywiózł i czy jest tam coś godnego uwagi. – Czego wy w końcu chcecie? Ja do was zawsze z sercem na kopytku, pomoc proponuję, udziały, skok cywilizacyjny umożliwiam i za każdym razem to samo. Wy przecież siedzicie na żyle złota! Dajcie mi chociaż jakieś pole manewru. Nie można tak „nie bo nie”. Tak się nie robi interesów.

– Słyszałeś to już nieraz, „brateńku”, ale widocznie wciąż nie rozumiesz – powiedział Weratyr. Nie był zły, raczej znużony. – Powiedz mi, czemu mielibyśmy wysilać się dla twojego bogactwa?

– Nie tylko mojego. Podzielilibyśmy się… – odparł szybko Whisky Jar. – Sprawiedliwie! – dodał po chwili zawahania.

– Sprawiedliwie? Masz na myśli „po równo”, czy tak?

– Hola! To wcale nie znaczy tego samego, brateńku. Przecie więcej roboty przypadnie…

– Tobie?! – zakpił Weratyr. – Rzeczywiście, ciężka to praca wytrwale zaspokajać wyłącznie własne rządze, traktując wszystko i wszystkich jak narzędzia. Nie potrafię sobie wyobrazić ile wysiłku trzeba włożyć w całkowite stłumienie w sobie naturalnych odruchów, ty i tobie podobni zdołali jednak tego dokonać. Gratuluję wytrwałości – byk sięgnął do pasa by odwiązać niedawno umocowaną tam sakiewkę. Przerzucił ją z kopyta do kopyta, niepostrzeżenie luzując wiążący ją rzemyk. – Chcesz złota? Proszę bardzo, bierz je!

Weratyr rzucił mieszek w stronę Whisky Jara, który odruchowo spróbował go pochwycić. Poluzowany rzemień i zaskoczenie kucyka sprawiły jednak, że sakiewka odbiła się od jego kopyt i z brzękiem rozsypujących się monet spadła na ziemię, na co kupiec już w następnym momencie porwał się by je zebrać. Pohamował się w ostatniej chwili i wpierw podejrzliwie zmierzył byka wzrokiem. Może i przeczuwał jakiś podstęp, lecz chciwość okazała się silniejsza. Tak jak spodziewał się Weratyr, Whisky Jar podniósł pierwszą monetę,

potem drugą i kolejną, aż począł zbierać je szybko i zachłannie, jakby bał się, że byk zaraz mu w tym przeszkodzi.

– Nie obawiaj się. Gromadź bogactwa, skoro właśnie tego pragniesz, ale pomnij czy będą ci równie drogie kiedy przyjdzie ci się z nimi pożegnać. Jeśli nie twój lud, odbierze ci je czas, a pierwszy wicher, który zawieje po twojej śmierci, oprócz nich zabierze też twoje imię – wtrącił ieleni, z pogardą kręcąc głową. – Nie jesteś skomplikowany, kucu. Nie mam pojęcia za kogo jesteś uważany wśród swoich i jakimi kłamstwami karmią twoją dumę, ale podobnie jak oni jesteś pełnym pychy głupcem dbającym tylko o prywatę. Tym się właśnie różnimy. Gdybym obiecał ci złote góry w zamian za przemycenie mnie i kilku moich braci do waszej stolicy, jestem pewien, że nawet byś się nie zawahał. Ba, nie pomyślałbyś o pożodze jak byśmy wzniecili, a jedynie upewnił się by w odpowiednim czasie być już daleko. A podobno to my jesteśmy dzikusami. Nie zaprzeczaj! Nie okazujesz nam tego, ale wiem, że to tylko jeszcze jedno złudzenie, które kreujesz wyłącznie po to by przyniosło ci zysk.

– Powiadasz? Tak? – skończywszy zbierać pieniądze, Whisky Jar najwyraźniej nabrał pewności siebie. – Takiś mądry? A przez kogo, jak nie przez was, kuce boją się iść do lasu bez eskorty? Siedzicie w tych swoich zagajnikach i mordujecie każdego kto, dajmy na to, zbierał sobie kasztany na jesienne zabawki, i jakoś to nie przeszkadza wam żeby ze mną handlować! Już zresztą pal licho wasze krętactwo! Wy się lepiej cieszcie, że jest jak jest, bo jakby się kuce zawzięły to by już was nie było!

– Chcecie wojny? – wtrącił Weratyr i z satysfakcją zauważył, że Whisky Jarowi zabrakło języka w pysku. – Przynosisz nam swoje dziwy i sądzisz, że przyjmując je, dajemy się skusić najprostszym pragnieniom. Mylisz się. Nie jesteśmy na twojej łasce, więc nie waż się mierzyć nas swoją miarą. Powtórzę to, nie jesteś skomplikowany, ani ty ani cały twój świat. I choć to mój świat nazywasz prymitywnym, patrząc moimi oczami, ujrzałbyś znacznie bardziej interesujący obraz. Nie będę ci go jednak opisywał, bo nie wart jesteś tego trudu. Nie zrozumiałbyś – byk, nie mając już więcej do powiedzenia, obrócił się w stronę wozu kupca. – W gruncie rzeczy, to smutne. Gdybyście, wy, kucyki, nie zasługiwały na naszą nienawiść, byłybyście warte naszego współczucia.

Co powiedziawszy, Weratyr bez długiego zastanowienia zabrał z wozu Whisky Jara oferowane przezeń koce i te z nienajgorszej wykonanych płaszczy, które wyglądały na najporządniejsze. Wziął wszystkie bydlęce rogi i sztabki metali, antałek mleka, trochę nasion i przypraw z niemal bezcenną solą na czele. Choć nie zdarzało się to często, tym razem wziął kilka bochnów upieczonego przez kucyki chleba, kosze z warzywami, parę gomółek sera. Nie oparł się pokusie i zabrał również ciemny blok zastygłej, lepkiej i bardzo słodkiej masy z orzechami, której nazwy nie pamiętał. Oski z pewnością się z niej ucieszy.

Wreszcie Weratyr wziął się za swój osobisty porachunek z Whisky Jarem. Otworzył jeden z mniejszych kuferków kryjących to, na czym zależało mu najbardziej – groty do strzał. Były tu pociski najzwyklejsze, w kształcie wrzecion, bez problemu przebijające zbrojne płyty oraz bardziej wymyślne, ząbkowane i z haczykowatym zwieńczeniem, powodujące paskudne rany, nie tak wszak bolesne jak próby wyrwania takich pocisków z ciała. Były groty sercowate i z wydzielonym liściem oraz gwizdkowe, to jest wyszlifowane z kości i ze specjalną komorą powietrzną, która w locie przeraźliwie wyła, doskonale sprawdzając się

przy straszeniu intruzów. Były wreszcie prawdziwe perełki – groty rozpryskowe, które po punktowym trafieniu w miękki cel, rozszczepiały się na troje i zagłębiając się w ciało wroga, szatkowały wręcz jego wnętrzności na papkę.

– Nie trapią cię wyrzuty sumienia, że groty, które mi dostarczasz, będą zabijać twoich przyjaciół?

– Brateńku! Kończ z tymi przytykami, bo wyjdę z nerw! Przyjaciołom to ja mówię jak jest i z uporem godnym lepszej sprawy powtarzam, żeby się od was trzymali z daleka. Jak nie posłuchają, ich wina i ich ryzyko, a moja strata taka, że nowego partnera w interesach trzeba szukać. Lepiej mi powiedz czy masz czym zapłacić za te groty.

Bez słów, za to z prychnięciem, Weratyr wskazał spoczywające na jego wozie worki z piaskiem zebranym z konkretnego miejsca w lesie. Nie miał pojęcia do czego był on potrzebny Whisky Jarowi, fakt pozostawał jednak faktem, że bardzo go sobie cenił i przyjmował każdą jego ilość, w zamian będąc gotowym spełnić każde żądanie Weratyra. Była to swoista umowa pomiędzy ogierem a bykiem.

Nastąpił moment ustalania szczegółów transakcji, w którym tak jak zwykle okazało się, że wartość towarów Whisky Jara nie odpowiadała, tym jakie oferował Weratyr. Próby targowania się zniweczyło uparte, wrogie milczenie ieleni, który aby wyrównać rachunek zabrał z wozu handlarza jeszcze kilka pucharów z kruchego, ale jakże ładnego, materiału zwanego szkłem i już zbierał się by odejść bez pożegnania gdy kątem oka dostrzegł ruch pod rozłożonym na wozie kocem. Nie mając pojęcia dlaczego przykuło to jego uwagę, ieleni odrobinę uniósł jego skraj, chcąc zobaczyć cóż się pod nim kryje. Już po raz drugi tego dnia okazało się to dla niego nielichą niespodzianką.

Pod kocem spała klaczka. Ta sama, którą Weratyr widział niedawno w kopytach jej uciekającej w przerażeniu matki.

– Jej nie dostaniesz! Żywym towarem, osobliwie kucykami, nie kupczę! – odezwał się szybko Whisky Jar, widząc zainteresowanie Weratyra. – Bo nie chcesz jej kupić, tak?

– Skąd pomysł, że bym chciał? – spytał Weratyr, nie odrywając wzroku od nienaturalnie bladego dziecka. – Gdzieś ją znalazł?

– Poza granicami lasu, jak o to ci się rozchodzi. Przy samym skraju, jakiś kawałek stąd, gdy jeszcze do ciebie jechałem, tom naraz usłyszał jak ktoś pochlipuje. Podchodzę bliżej i widzę malutką w kopytach matki nieboszczki. No to co mi było robić? Wziąłem dziecinkę i co da radę, to w mieście z nią zrobię. Chyba chora jest... Hej, brateńku, wiesz?… ja wiem, że my się nie lubimy, ale może dla tej małej to byś jednak coś znalazł, hm? Jakieś ziółka na gorączkę czy cóś…– Whisky Jar urwał jakby właśnie sobie coś uświadomił. – A właściwie to skądżeś wiedział, że ją znalazłem?

– Domyśliłem się.

– Domyśliłeś się? Bo mnie się widzi, że jednak czegoś mi nie mówisz…

– Nie muszę ci się tłumaczyć!

– No, nie musisz, brateńku – tym razem to Whisky Jar brzmiał groźnie. Sięgnął do jednej ze swoich kieszeni. – Ale wiesz co? Myślę, że jakoś już umoczyłeś kopyta w tej sprawie. Tak żeś się dziwnie spojrzał na tę małą i… O, nie mówiłem ci! Wiesz, że jej mama zginęła chyba od jakichś dziwnych czary-mary, a nie od strzał ani w ogóle od takich

małodobrych rzeczy? Od takich, znaczy się, jakie zazwyczaj ze sobą nosisz… To jakaś okazja, że nie wziąłeś łuku?

– Nie. Po prostu nie mam powodu by się ciebie obawiać. Ty jednak, zdaję się, myślisz o mnie inaczej, więc pozwól, że spróbuję odmienić twoje zdanie o mnie i dam ci przyjacielską radę. – Weratyr znacząco spojrzał na jedną z kieszeni Whisky Jara. Handlarz zauważył to dopiero po chwili i ze zdenerwowaniem, którego nie udało mu się ukryć, wyciągnął z niej kopyto. Puste.

– Mądra decyzja – odparł Weratyr. – A przyjacielska rada brzmi: „Nie próbuj mi grozić”.

– O, a więc przyznajesz, że jednak groziłem? – Whisky Jar uśmiechnął się ironicznie.

Weratyr nie wytrzymał. Uderzył Whisky Jara w policzek, przewracając go na ziemię.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć, kucu? Zabiłem ojca tej klaczki i nie będę za to przepraszał, zwłaszcza ciebie, ale skoro tak bardzo ci na tym zależy, dziecko i jej matkę puściłem wolno. Zrób z nią co chcesz, nie obchodzi mnie to.

Weratyr nie miał ochoty do dalszej rozmowy. Ignorując zwlekającego się z ziemi handlarza, zaprzągł się ponownie w swój wóz i ruszył w głąb puszczy.

Droga powrotna do osady, podobnie jak wcześniej, nie miała przysporzyć mu kłopotów, robiło się wszak ciemno, a że po nocy o zgubienie się nietrudno, Weratyr postanowił zaniechać dzisiejszej wędrówki. Strzeżonego puszcza strzeże i nie było potrzeby się spieszyć. Nikt nie nadąsa się jeśli byk stawi się w osadzie dopiero z rana.

Zboczywszy nieco w gęstszy las, żeby w towarzystwie drzew spało mu się milej, Weratyr wyprężył się z wozu. Zabrał z niego kociołek i odszedł na chwilę by zaraz wrócić napełniwszy go wodą. Postawił go w miejscu, które oczyścił wcześniej ze ściółki i starannie wyłożył kamieniami. Sprawdziwszy dwa razy czy na pewno nie zagraża to bezpieczeństwu lasu, przywołał czarodziejski, mieniący się kolorami, ogień – nie przynależny temu światu dziw, który mógł płonąć mimo braku opału. Była to prosta sztuczka wymagająca zaledwie drobiny nienaturalnych mocy i tym samym tolerowana przez puszczę. Co prawda, taki ogień zawsze bywał mniejszy i odrobinę chłodniejszy niż ten wykrzesany na drwach, ale jako taki w zupełności ieleni wystarczał.

Minęło kilka leniwych chwil. Las nucił kołysankę nocnych dźwięków, w kociołku bulgotała grzybowa potrawka, nieopodal chrupała miedzy drobnymi ząbkami surowa marchew, prezent Weratyra dla niespodziewanego gościa – zająca, który jakiś czas temu zaciekawiony błyskami barwnych płomyków zbliżył się do ognia i pozwolił sobie skorzystać z jego ciepła. Byk leżał i rozmyślał.

Wpatrzył się w otwór w leśnym sklepieniu, przez który prześwitywało czyste nocne niebo z rozsianymi na nim gwiazdozbiorami. Oto był jeszcze jeden świat, tak bliski a tak daleki, leżący tam, gdzie nie sięgają drzewa, a zamieszkały przez alabastrowych wędrowców i zawieszone między nimi nici dziwnych obrazów. Świat być może leżący we władzy siły równie potężnej jak las, która rządzi swą domeną w sposób, jakiego ieleni powinni się obawiać. Puszcza nie dopuściła jednak by jej sługom działa się krzywda. Stworzyła im miejsce, gdzie mogą żyć pod jej pieczą… bez szkody dla sąsiadów. Bez tak czułej opieki, obce moce mogłyby wedrzeć się w krainę ieleni i różne wiązać z nią intencje, tak samo jak

sami ieleni mogliby w obliczu nieznanego nie zapanować nad swoim strachem. Chaos byłby nieunikniony.

Dlatego właśnie pomiędzy światami wznosiły się jakby mgliste mury, przez które dało się co jakiś czas podejrzeć cóż się tam dzieje po drugiej stronie, lecz nie wolno było takich granic naruszać. Każdy świat był inny i zgoda pomiędzy nimi wymagała wielkiej cierpliwości i uwagi. By przetrwać, wszystkie moce musiały żyć w harmonii. I nawet jeśli zdawałoby się, że tej harmonii brakuje, należało czekać i na przekór nieprzyjaciołom dokładać wysiłków by ład pozostał zachowany. Oto było zadanie, jakie mieli przed sobą ieleni.

Weratyr westchnął pełną piersią. Wielkie myśli wielkimi myślami, przyszło mu do głowy, ale jeść też trzeba. Byk zamieszał w kociołku, nabrał potrawki, dosypał przygarść startego sera, rozerwał chlebowy bochen i oddał się tak prostej przyjemności, jaką był dobry posiłek.

Na nocne odgłosy lasu nie zwracał uwagi. Dopiero po pewnym czasie gdy zorientował się, że jego zajęczy gość niepostrzeżenie gdzieś umknął, a jedyne dźwięki otoczenia wydawał on sam, podniósł głowę znad misy.

Chyba niepotrzebnie, pomyślał, bo nie wyglądało na to by poza ciszą, jakiś drobiazg odstępował od codziennego stanu rzeczy. Ciemności jakby zgęstniały, owszem, ale cóż w tym dziwnego skoro noc trwała w najlepsze i wystarczyło dorzucić nieco do ogniska by nie stracić z oczu własnego nosa. Weratyr owinął się więc szczelniej pledem, pochwycił z niedaleka kilka gałązek i podsycił kolorowe płomienie. Trzaskały aż miło. Byk wrócił do przerwanego posiłku.

Grzyby smakowały iście wybornie. Warto jest doceniać proste przyjemności, bo wówczas tym bardziej miłe są te większe, ale doprawdy, Weratyr dawno nie jadł tak dobrze. Aż wstyd, że tak mlaskał, oblizywał kopyta i połykał bez delektowania się, ale po prostu trudno mu było się powstrzymać. Byk świata wręcz nie widział poza swoją miską. Jadł szybko i z każdym kęsem robiło mu się cieplej i przyjemniej, a do głowy napływały mu miłe myśli. Już kończył wylizywać dno i już chwytał chochelkę by nałożyć sobie dokładkę kiedy wzrok zatrzymał mu się na płonących pod kociołkiem gałązkach.

Zdziwiony, przyjrzał się im lepiej i wpatrywał się tak w ogień wzrokiem nieskalanym myślą przez dłuższy moment. Dopiero po jego upływie znienacka spadła na niego świadomość tego, co przed chwilą uczynił.

Jak oparzony zerwał się z ziemi. Miskę cisnął precz, a kociołek przewrócił. Działając w przerażeniu i panice, począł deptać czarodziejski ogień, a gdy nie przyniosło to skutku, porwał porzucony przed chwilą koc i uderzał nim bezładnie by ugasić płomienie. Opanował się w końcu i stłumił tlące się resztki ogniska przykrywając je całkowicie, obojętny na wciąż bijące od nich gorąco.

Co też mu strzeliło do głowy?! Złamał rządzące jego światem reguły! Co za licho podkusiło go by tak bezmyślnie przywłaszczył sobie nawet taki drobiazg jak kilka suchych gałązek?!

Zamiast się temu dziwić, Weratyr poczuł zażartą chęć by jeszcze trochę sobie podjeść… Podszedł do rozlanej kałuży potrawki, pochylił się… Powstrzymał się z ustami tuż ponad ziemią i gwałtownie kręcąc głową odszedł parę kroków w stronę wozu.

Bez wątpienia działo się tu coś niedobrego. Przeczucie mówiło Weratyrowi, że będzie potrzebował łuku. Naraz każde drzewo zdało mu się doskonałą kryjówką dla tajemnic i niebezpieczeństw, a w ciszy jęły rozbrzmiewać urojone odgłosy kapania spływającej z pyska śliny czy ciężkiego dyszenia przechodzącego w warkot pełnej zębów paszczy. A może były to stłumione, złowieszcze szepty i dźwięki wyciąganej po kryjomu stali?

Do czorta, zaklął Weratyr, gdzie się podział ten łuk?!

Wtem przypomniał sobie i aż uderzył się w czoło. Oczywiście! Nie znajdzie łuku, bo przecież Oski prosiła by zostawił go w osadzie.

Kochana Oski! Łania z pewnością dostrzegła, że lata zdrowej ostrożności przeciwko wszystkiemu co osobliwe, obudziły w jej lubym nieustające poczucie, żeby nie powiedzieć pragnienie, zagrożenia. Aby zaś oszczędzić Weatyrowi wstydu, nie powiedziała mu o tym wprost, a sprytnie pokierowała nim by w tę zwyczajną przecież noc, w obliczu swoich nieistniejących omamów, sam doszedł do tego jak bardzo się wygłupił. Bo istotnie było to śmiechu warte. Byk roześmiał się głośno i do łez chichotał z własnej głupoty, klaskał i tupał z rozbawienia, aż wreszcie stwierdził, że nic tu po takich błazenadach. O ileż przyjemniej byłoby zatopić się we wspomnieniach minionych chwil z ukochaną.

Wciąż dziecinnie wręcz wesoły, byk położył się na wozie. Znów pogrążył się w marzeniach i zamyślił. Zamknął oczy i patrząc w przeszłość, długo oglądał wyobrażenia minionych lat, kreślił obrazy wspomnień i fantazjował o dniach, które miały dopiero nadejść. A ponad to wszystko myślał o Oski i o tym jak bardzo ją kochał.

Gdy otworzył oczy, wiedział co musi zrobić. Jak mógł o tym zapomnieć?

Musiał pobiec do swej ukochanej. Teraz! Nie było chwili do stracenia!

Zerwał się z wozu mało go nie wywracając i ruszył przed siebie. Z szaleńczego pośpiechu aż potykał się o własne nogi. Dwa czy trzy razy zachwiał się i przewrócił by po chwili czołgania się znów wstać i ruszyć na złamanie karku, nie myśląc nawet czy to właściwy kierunek. Nie zwracał uwagi na niewygody obranego szlaku. Nie myślał o kamieniach ani zaroślach. Uderzające go ostre gałązki nie istniały. Umysł byka zalała jedna, jedyna myśl i to ona dodawała mu sił. Żaden cel nigdy jeszcze nie wydawał mu się tak pewny i pożądany. Weratyr dyszał z niecierpliwości. Miał zadanie. Jego jedynym pragnieniem było znaleźć się bliżej Oski i biada każdemu, kto by mu w tym przeszkodził.

Był w amoku, a im dłuższe stawały się chwile obłąkańczego galopu, tym bardziej wzbierały w nim uczucia inne niż te, które kazały mu odszukać ukochaną – gniew, zniecierpliwienie, emocje złe i straszne, jakkolwiek wciąż przyczajone gdzieś i zduszone pod naporem tej jednej, najważniejszej żądzy, poza którą nie liczyło się nic.

Koniec końców stało się to, co w szaleńczym biegu stać się musiało i Weratyr przewrócił się jak długi, prosto na twarz. Nie wstał, jak poprzednio, od razu, a przez chwilę leżał na ściółce bez ruchu i bez jęku, jakby trafiony klątwą.

Wówczas pierwszy raz w życiu zaczął płakać.

Do niedawna tak oczywisty i wytęskniony cel zbladł i rozpłynął się w pustce, jaka położyła się ciężarem na duszy Weratyra. Znikąd spadła na niego rozpacz, przynosząc bolesny przebłysk zrozumienia jak bardzo godne politowania były jego wysiłki. Bo bez względu na jego trud, prostą prawdą pozostawało, że swą ukochaną już stracił. Oski, ta, do której należało jego serce, wkrótce opuści go na zawsze. Oślepiona pięknymi iluzjami lasu odejdzie w jego objęcia, w zamian za wszystko co kocha skazując się na wieczną tułaczkę pośród żywych, a jednocześnie tak martwych drzew. Stanie się taka jak one, długowieczna, lecz milcząca i zamyślona, posłuszna woli puszczy i niezdolna by radować się tym nowym życiem, na wieczność pogrążona w tęsknocie. Jak Weratyr mógł wcześniej cieszyć się z tego przekleństwa?!

Ale dość już było kojących łez! Dosyć uniżoności i pokory!

Jednym susem Weratyr zerwał się z ziemi. Ułamek chwili wodził dookoła wzrokiem by zaraz z furią rzucić się w stronę najbliższego drzewa, równie drogiego puszczy jak każde inne. Zaczął uderzać w jego pień, zrazu miarowo, później z coraz dzikszym okrucieństwem. Prychał i krzyczał. Do bólu kalecząc sobie kopyta, całymi garściami zdzierał płatki kory, drapał, gryzł, spijał bursztynową krew, wypluwał drzazgi. Odkrywszy w końcu nagie ciało drzewa, przerwał by znaleźć ostro zakończony kamień. Śpieszył się, toteż nie szukał długo. Był inny sposób.

Cofnąwszy się kilka kroków dla rozbiegu, byk pędem ruszył w stronę swej ofiary i pochyloną głową uderzył o jej pień. Odbił się od niego. Zachwiał się i z otumanienia niemal zwymiotował, ale opłaciło się – jego poroże ułamało się i oto miał w kopytach potrzebne narzędzie.

Nie słysząc szumiącego wśród liści płaczu i śmiejąc się z niego, Weratyr ją uderzać ostrym rogiem, z każdym ciosem pogłębiając szramę pnia. Gotów był przecinać choćby i jedno włókno po drugim aż dostałby się głęboko, do samego rdzenia drzewa. Wówczas zacząłby napierać na nie ze wszystkich pozostałych mu sił. Przyrzekł sam przed sobą, że bez względu na wszystko, to dziecko lasu padnie za jego przyczyną i tym razem to puszcza będzie cierpieć. Później niech się dzieje co chce! Jeśli starczy sił, Weratyr zabije jeszcze raz i jeszcze raz. Właściwie, dlaczego nie miałby tego robić do końca swoich dni? Co takiego wielki las mógłby uczynić żeby mu przeszkodzić?

I chociaż było to nieodwracalnym wyrzeczeniem się wszelkich zasad, w które wierzył od dzieciństwa, Weratyr nie przestawał rąbać. Jego świat już któryś raz tej nocy sprowadził się do jednej prostej myśli, która jednak, podobnie jak te, które nawiedzały go niedawno, powoli blakła, pozostawiając tylko bezrozumny szał. Pragnienie, jakim była zemsta, nie stało z nim jednak w sprzeczności i to ono wyparło z umysłu byka przerażenie dokonywaną zbrodnią, świadomość nieuchronnej kary i wszystko inne. Zniknęła całkowicie dawna miłość do lasu, a nawet do najdroższej Oski.

Nic go nie obchodziło. Weratyr z uporem i bezmyślnością zadawał kolejne ciosy, szybko wszak opadając z sił. Uderzał z rzadka, ledwie już trzymając złamany róg, krzycząc za to potępieńczo. Potrzebował odpoczynku, ale nie myślał o nim. W ogóle, żadnej już myśli w jego głowie nie było. Nie pamiętał co robił i dlaczego. Wszystko wydało mu się obojętne.

Nie czuł już nienawiści ale też nie odczuwał wyrzutów sumienia. W środku był pusty, umysł miał zupełnie zmącony.

Zrobił kilka chwiejnych kroków, upuścił swój ułamany róg i padł na ziemię. Nie miał już siły myśleć, lecz gorsze od przeraźliwego wyczerpania było odczucie zimna, które nagle zaczęło go przeszywać. Weratyr wszak przyjął je obojętnie. Tuż przed tym jak pozwolił oczom się zamknąć, przez wąską szczelinę opadających powiek ujrzał, że ktoś nad nim stanął.

Byk w jednej chwili wyrwał się z ciemności, w którą spadał, rozpoznawszy któż to taki.

To była ona! Piękna jak co dzień, choć jej niebieskie oczy lśniły teraz od łez, a na pyszczku pojawił się wyraz niedowierzania. Oski spoglądała na wrak, w jaki przemienił się jej ukochany. Weratyr podniósł głowę szukając w łani pocieszenia. Wyrażając nieme błaganie o przebaczenie, szukał w niej śladu zrozumienia, który przywróciłby w nim chęć życia, ale Oski milczała. Bez słowa odwróciła się i zaczęła się oddalać. I choć Weratyr od samego początku pragnął się za nią udać, siłę by wstać znalazł w sobie dopiero po jakimś czasie. Nawet wówczas nie wystarczyło jej na długo. Byk znów padł na ziemię, lecz brnął naprzód, uparcie trzymając się tej niewielkiej iskierki nadziei, jaką jeszcze w sobie niósł.

Opuściły go wszystkie siły, wszystkie emocje i wszystkie uczucia. Wydało mu się, że stracił przytomność, a wówczas spłynęła na niego dziwna pewność, że nie żyje albo przynajmniej nieodparte pragnienie by rzeczywiście nie żył. Bo cóż to było za życie skoro nie miało się już nic? Po chwili jednak, a może po kilku godzinach czy dniach nieprzytomności, poczuł znajomy dotyk na policzku. Ciepło tego dotyku na powrót przywołało go z krainy cieni i dało mu dość siły by podnieść oczy, które jakby chcąc dobić go ostatnią torturą, ponownie ukazały mu ukochaną, wciąż smutną, a jednak z ustami wykrzywionymi w pełen pocieszenia uśmiech.

Oski, z wysiłkiem pomogła Weratyrowi wstać i pozwoliła mu uwięzić się w jego uścisku. Łucznik nie kryjąc łez przytulił do siebie łanię, pewien, że jedynie kilka chwil w jej objęciach przywróci mu tak dziwnie utracone siły. Przeraził go fakt, że pustka jaką w sobie odczuwał sprawiła, iż nawet ciało Oski wydało mu się chłodne i twarde, jakby była zakuta w ciężką zbroję. Zdał sobie jednak sprawę, że było mu to obojętne. W tej jednej, cudownej chwili liczyła się dla niego tylko obecność ukochanej, która mimo zbrodni jakiej się dopuścił, potrafiła mu wybaczyć.

Weratyr delikatnie odchylił głowę Oski, pocałował jej zimne usta i podziwiając swoje odbicie w jej szmaragdowych oczach, zrozumiał tak jak nigdy przedtem, że chce spędzić z Oski resztę życia. Był nawet gotów sprzeciwić się woli lasu by osiągnąć ten cel i choć wiedział, że trudno mu będzie przekonać do tego Oski, nie miał wątpliwości, że będąc razem przezwyciężą wszelkie przeszkody, jakie przeznaczenie postawi na ich drodze.

Ziszczenie tych pragnień Weratyrowi nie było wszak dane. Znów upadł i tym razem miał już się nie podnieść.

Nie żył.